



Tajemnicze
zlecenie
księgarza

2

Dramat
w kilku
aktach

3

Nie wiem,
czy chciałbym
rozmawiać
o Majdanie

6

W
jak
wolność

7

LUBLIN WIELOKULTUROWY. POLSKA TOŻSAMOŚĆ NIE BYŁA ETNICZNA

Pierwsze skojarzenia, odnoszące się do Lublina, to zazwyczaj: Unia Lubelska, jego położenie na Wschodzie, książka Isaaca Bashevisa Singera „Sztukmistrz z Lublina”. Wszystkie one wskazują na ważne, wielokulturowe wątki w historii miasta. Unia to wielki projekt polityczny połączenia Polski i Litwy w jeden organizm i epoka Jagiellonów, Wschód to pogranicze i bliskość prawosławia, „Sztukmistrz” to żydowski mieszkańcy Lublina.

Wielokulturowy Lublin to przede wszystkim epoka Jagiellonów. W Lublinie, jak w soczewce, widoczny był wielokulturowy charakter tamtej Rzeczypospolitej. W owym czasie mieszkali tu już Żydzi, Niemcy, Rusini, Ormianie, Szkoci, Włosi. Od połowy XVI do połowy XVII wieku Lublin był ważnym ośrodkiem reformacji. Rozwija się tu jedna z głównych gmin braci polskich, arian. Sprzeciwiając się wszelkiej przemocy, manifestowali to chodząc po ulicach z drewnianymi mieczami.

Przez wieki symbolami wielokulturowego Lublina były: kaplica zamkowa, łącząca gotyką architekturę z bizantyjskim wystrojem, prawosławna cerkiew Przemienienia Pańskiego (przy ul. Ruskiej), Wielka Synagoga (nie istnieje) a później także kościół ewangelicki (przy ul. Ewangelickiej). Mniejszość wyznaniowa i narodowa widoczne były w gospodarce Lublina, we władzach miejskich, w kulturze i oświa-

cie. W Lublinie symbolem rodzącego się w XIX w. przemysłu byli ewangelicy. Większość powstających w tamtej epoce zakładów i fabryk prowadzili właśnie oni. Obok najbardziej znanej rodziny Vetterów (słynny browar i ufundowana przez nich szkoła handlowa) byli to m. in. Kraussowie – właściciele młyna, Hessowie – do nich należała fabryka wag, rodzina Plage – współwłaściciele fabryki samolotów. Ewangelikami byli też Adolf Frick, właściciel pierwszego lubelskiego banku oraz założyciel słynnej lubelskiej cukierni – Andrzej Semadeni.

Ale największą i najbardziej rzucającą się w oczy społecznością w wielokulturowym Lublinie byli Żydzi. Lubelska gmina żydowska stała się szybko jedną z największych w Polsce. Wiek XVI to wspaniały okres jej rozwoju. W tym czasie powstała sławna w całej Europie Akademia Talmudyczna. Pod koniec XVIII wieku Lublin staje się ważnym ośrodkiem chasydyzmu, rozwijającego się wokół charyzmatycznej postaci Widzącego z Lublina.

W 1930 roku powstała wyższa uczelnia żydowska Jesziwas Chachmej Lublin, nawiązująca do istniejącej tu w XVI wieku akademii. O Lublinie zaczęto nawet mówić „żydowski Oksford”.

W październiku 1939 r. blisko Lublina, w Kocku, zaczął dopełniać się los wielokulturowej Rzeczypospolitej – doszło tam do ostatniej bitwy kampanii wrześniowej. Ginęli w niej po stronie polskiej zarówno katolicy, jak i prawosławni, grekokatolicy, ewangelicy oraz polscy Żydzi i muzułmanie.

Druga wojna światowa przyniosła całkowitą zagładę lubelskich Żydów, stanowiących w chwili jej wybuchu trzecią część mieszkańców miasta. Po wojnie Lublin przestał być miastem wielokulturowym. Dziś wielokulturowość miasta oznacza zupełnie coś innego.

Wielokulturowa Rzeczpospolita – tak jak wielokulturowy Lublin – nie przetrwała, ale historia, którą ze sobą niesie, wciąż może być dla nas ważna i inspirująca.

Wybitny brytyjski historyk Norman Davis i honorowy obywatel miasta Lublina, zajmujący się badaniem historii Polski, wskazuje, że „próbując zdefiniować naszą tożsamość powinniśmy wracać do straconych wątków prawdziwej polskości. Polska tożsamość I Rzeczypospolitej nie była przecież etniczna. Prawosławny ukraiński szlachcic także był Polakiem. Gdańszczanie nie mówili po polsku, a uważali, że są Polakami. Trzeba się otworzyć na szerokie rozumienie polskości, które znikło w XIX w. (...) Mam wrażenie, że młode pokolenie Polaków nie ma świadomości swych dawnych, bogatych tradycji religijnych. Przedwojenna Polska była ogromnie zróżnicowana pod względem religijnym – katolicy, protestanci, prawosławni, Żydzi, nawet muzułmanie. Historia Polski pisana była przez lata z pozycji narodowych i niewiele się pod tym względem zmieniło. Wciąż mówi się o rozbiorach Polski, a nie o rozbiorach Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Ciągłe marginalizowana jest historia żyjących na tych ziemiach Ukraińców, Białorusinów, Litwinów, Niemców i Żydów”. Na to wskazuje również, w bardzo osobistym wyznaniu, prof. Jadwiga Staniszkis:

„Losy mojej rodziny i rodziny mojego męża pokazują, że Polska zawsze była miejscem spotkania ludzi różnych religii i odmiennego pochodzenia etnicznego. Sprowadzanie polskiego patriotyzmu tylko do stereotypu Polaka katolika gubi to bogactwo. Polakami są ci, co Polskę wybrali. Ci, którzy czują się za ten skrawek ziemi i za żyjących tu ludzi odpowiedzialni, oraz wnieśli swój wkład do jego kultury i historii”.

Gdy mówimy o wielokulturowym dziedzictwie Lublina bardzo łatwo przechodzą nam przez usta gładkie formułki: Lublin miejscem spotkania kultur, Lublin miejscem zawarcia Unii – wielkiego eksperymentu na drodze dialogu kultur, Lublin tygłem kultur, religii itp., itd. Z dumą przyznajemy się do wielonarodowej jagiellońskiej Rzeczypospolitej, podkreślając w szczególności słowa Jana Pawła II: „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej”.

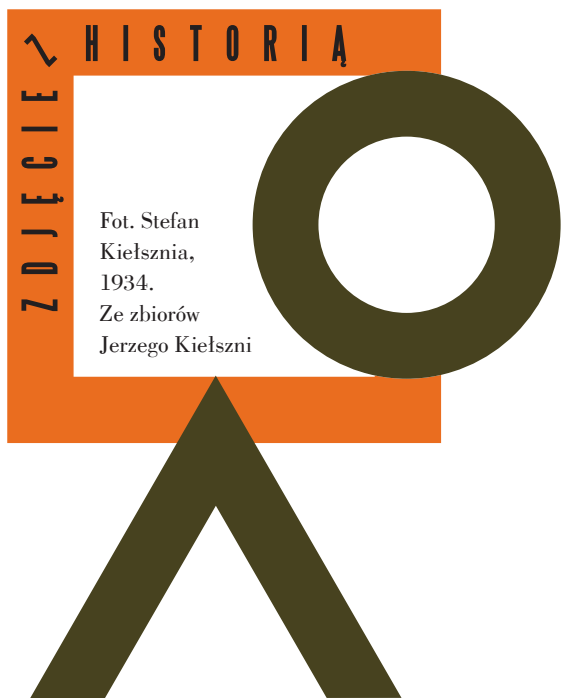
Tylko co tak naprawdę to dla nas oznacza i co z tego wynika?

Już Jan Paweł II, prawdziwy obywatel Rzeczypospolitej wielu narodów, w „Pamięci i tożsamości” zwrócił uwagę na to, że „jagielloński wymiar polskości (...) przestał być, niestety, w naszych czasach czymś oczywistym”. Komentując te słowa ks. Alfred Marek Wierzbicki napisał: „Może poprzez bliższe poznanie, w jaki sposób przeżywał swą polskość Papież z Krakowa, jagiellońska szeroka i otwarta wizja polskości mogłaby nadal inspirować. Już same słowa Jana Pawła II: »polskość to w gruncie rzeczy wielość i pluralizm, a nie ciasnota i zamknięcie«, zdają się być dynamitem”.

Tomasz Pietrasiewicz



Panorama Lublina od strony ulicy Chopina. Zdjęcie wykonano między 1914 a 1924/25 rokiem.



Fot. Stefan
Kielsznia,
1934.
Ze zbiorów
Jerzego Kielszni

Jesienią 1934 roku Stefan Kielsznia sfotografował sklepy i partery kamienic w centrum Lublina. Zdjęcia przeleżały w jego archiwum rodzinnym przez ponad 40 lat. Dopiero w 1977 roku, namówiony przez lubelskiego historyka sztuki i bibliofila, Henryka Gawareckiego, zgodził się na pokazanie tych fotografii na wystawie.

Stefan Kielsznia żył w latach 1911-1987. Przed II wojną światową pracował jako księgarz. Jego zdjęcia z tego okresu wzbudziły ogromne zainteresowanie wśród lublinian. Były pokazywane także na wystawach w San Francisco, Paryżu, Bostonie i Tel Awiwie. To w sumie 145 zdjęć z ulic: Lubartowskiej, Świętoduskiej, Kowalskiej i Szerokiej. Są bezcenną dokumentacją życia codziennego w Lublinie w latach 30. XX wieku.

Po co Stefan Kielsznia zrobił te zdjęcia? Przy okazji pierwszej wystawy opowiadał, że dostał zlecenie od miejskiego konserwatora zabytków Józefa Dutkiewicza. Miała to być dokumentacja dla lubelskiego magistratu, w związku z planami przebudowy dzielnicy żydowskiej. Jednak wersji tej zaprzeczają fakty. Owszem, planowano przebudowę, ale chodziło o teren na tyłach Zamku, gdzie znajdowała się najbiedniejsza część dzielnicy żydowskiej. Miała tam powstać reprezentacyjna aleja, przebiegająca mniej więcej w miejscu dzisiejszej al. Unii Lubelskiej.

Poza tym, gdyby chodziło o zrobienie dokumentacji przed przebudową, uwieczniane byłyby całe nieruchomości. Prawdopodobnie więc przedmiotem zainteresowania fotografa były szyldy i reklamy, które Zarząd Miejski chciał uporządkować.

TAJEMNICZE ZLECENIE KSIĘGARZA

Na fotografii widzimy kamienicę na rogu ulicy Świętoduskiej i Lubartowskiej. Całą fasadę zajmują różne rodzaje reklam: szyldy nad drzwiami, informacje o towarach umieszczane na okiennicach, nazwiska właścicieli w oknach wystawowych i malowane bezpośrednio na ścianie budynku. Są także rysunki, informujące o towarach sprzedawanych w danym sklepie, skierowane zapewne do osób niepiśmiennych. Przed sklepami – sprzedawcy czekający na klientów, osoby, które zdecydowały się na zakupy, a także przypadkowi

przechodnie. Należeli do różnych grup społecznych. To przedstawiciele klasy średniej, robotnicy mieszkający na przedmieściach, Żydzi w tradycyjnych strojach i chłopci z podlubelskich wsi. Wszyscy oni tworzyli obraz wielokulturowego miasta, jakim był Lublin do II wojny światowej. Widzimy ich przed sklepem Erlichmana, hurtowym składem żelaza Tajtelbauma, koło składu towarów bławatnych Kohena i dalej, w dół ulicy, obok kolejnego sklepu z wyrobami żelaznymi. Nad całą sceną dominuje reklama Kupieckiego

Banku Spółdzielczego, wymalowana po obu stronach narożnika kamienicy. Uważny obserwator dostrzeże jeszcze plakat informujący o meczu bokserskim między zawodnikami z Rumunii i reprezentacją lubelską. W dolnej części zdjęcia zwraca uwagę malowniczy bruk – tak wyglądała nawierzchnia większości ulic w międzywojennym Lublinie.

Marcin Fedorowicz

Róg ul. Świętoduskiej i ul. Lubartowskiej, 1934, fot. Stefan Kielsznia



Relacje z Pracowni
Historii Mówionej
Ośrodka „Brama
Grodzka – Teatr NN”

HISTORIA MÓWIONA

Ulice Starego Miasta były oświetlone lampami gazowymi. Pod wieczór chodził urzędnik z gazowni z długim kijem i zapalał lampy. Rano musiał je gasić i znów zapalać. Miał specjalną, okrągłą czapkę i kij, na końcu którego był haczyk. Przy lampie zawsze wisiał okrągły drut i on tym kijem zaczepiał o to kółko, pociągał i wtenczas ona się zapalała. Każdą lampę musiał zapalić oddzielnie. A lamp było dużo. Niektóre były wolno stojące, niektóre były przyćepione do muru. Lampa była kształtu sześciokątnego. Dawała inny kolor niż lampy elektryczne. Zielonkawy, seledynowy, chłodny. To było bardzo romantyczne.

Jacek Ossowski, ur. 1929

Na Święto Konstytucji 3 Maja i na Święto Niepodległości, 11 listopada, chodziliśmy do synagogi. Podczas uroczystości było przemówienie rabina i pochwały dla prezydenta Mościckiego. Rabin mówił ładną polszczyzną. Potem była defilada. Szły wszystkie szkoły. Nasza jako ostatnia szkoła żydowska.

Jochewed Flumenker, ur. 1919

Samochodów było mało. Pamiętam tylko, że jeden pan miał fiata. Na skrzyżowaniu ulic ten samochód zatrzymywał się. Trzeba było wyjść z korbą i zakręcić silnik. Kiedy coś zaskoczyło, samochód jechał dalej. Miasto można było przemierzyć dorożką. Autobusów miejskich było niewiele. Zapamiętałam zajezdnię autobusów międzymiastowych. Mieściła się z tyłu Ratusza, między ulicą Nową a Świętoduską. Stamtąd wyjeżdżaliśmy na wakacje do Puław czy Kazimierza. Po drabince, znajdującej się z tyłu, wchodził kierowca albo konduktor i umieszczał nasze bagaże. Na wierzchu było specjalne miejsce, gdzie kładło się wszystkie kosze, walizy i toboły. Przywiązywało się je pasami. Do tego można było też wynająć bagażowych. Najczęściej tymi bagażowymi byli Żydzi. I oni właśnie podawali te wielkie toboły na wierzchu. W okresie wakacyjnym przez miasto jechała taka piramida.

Zofia Matysiak, ur. 1927

Można było kupić hajse bubale. To były babeczki wypiekane z mąki i kaszy gryczanej. Jadło się je na gorąco, przecinając je w trzech miejscach. Sprzedawano je w ceramicznych foremkach, tak jak teraz niektóre znicze. Były gorące. Żydówka trzymała to w koszu nakrytym parzonym workiem i chodziła po ulicy. Na Lubartowską bały się wychodzić, bo policjanci nie pozwalali. Wołały: „Hajse bubale! Hajse bubale!”. Najczęściej kupowali je Żydzi. Nie miałem do tego zaufania, ale raz się skusiłem. Przeciąłem babeczkę na trzy i włożyłem plasterkę masła. To było pyszne.

Czesław Luty, ur. 1922

Matka była chora i nie mogła prowadzić swojego małego sklepiku. Nie dawała rady dźwigać paczek z towarami, które ważyły 15 kilo. Bieda była duża. Mieszkaliśmy w jednym pokoju. Podłoga była z ziemi. Kiedy na dworze padał deszcz była zimna i wilgotna. Znajomy stolarz widział, jak żyje moja rodzina. Dwa razy w tygodniu dawał nam trociny ze swojego warsztatu. Kładliśmy je na ziemię. Głodu nie było, bo był chleb. Jedliśmy go ze wszystkim. Zupa zawsze była z chlebem. W niedzielę mama kupowała kilo cukru. Kroiła chleb na małe kawałki i posypywała cukrem. Jedliśmy też kartofle. Jak na zimę w piwnicy mieliśmy kartofle, to było coś. Wtedy było w domu wesoło. W lecie chodziliśmy bosy. Lepiej ubierałem się w sobotę i święta. W 1935 roku moja siostra wyszła za mąż za bogatego człowieka. Miał sklepy na Krakowskim Przedmieściu. Posłała po stolarza, żeby zrobił podłogę w naszym domu. To był dla nas raj. Co tydzień dawała matce kilka złotych, żeby było można lepiej jeść.

Mosze Korn, ur. 1918

W ostatnim roku przed wojną pracowałem we młynie parowym. Robiłem wypłat. Były co środę. Mieliśmy czterdzieści, pięćdziesiąt robotników. To było w czerwcu. Spacerowałem po Krakowskim Przedmieściu i widziałem jednego z robotników, jak stał i piketował. Nie dawał Polakom wejść do sklepu żydowskiego. To był sklep z artykułami piśmiennymi braci Kestenberga. W środe podszedłem do niego i powiedziałem: „Żyjesz z pracy, pracujesz u Żydów. Jesteśmy z ciebie zadowoleni. Jak ty możesz tam stać? Tak się nie robi”. Ostrzegłem go, że jeżeli jeszcze raz zobaczę go na pikiecie, to nie będzie dla niego miejsca u nas.

Eliezer Orenstein, ur. 1919

U nas w domu czulent robiło się klasycznie: z kartofli, cebuli, soli, pieprzu i kiszki wołowej. Oczyszczoną kiszkę wołową z lojem kupowało się na metry w jatkach żydowskich. I potem te czyste, wyskrobane, pachnące kiszki nadziewa się bułką, solą i pieprzem. Nie się więcej nie dodaje. Potem trzeba to zsiżyć. Do żeliwnego garnka kładzie się kartofle, a na wierzchu nadzianą kiszkę. Garnek zamyka się przykrywką, okręca szmatami i papierem z wierzchu. To musi się dobrze trzymać, żeby para nie ulotniła się. Tłuszcz ścieka na kartofle, a one rumienią się przez dobrą siedząc w piecu.

W domu był kaflowy piec z duchówką. Jak tam się napaliło i wstawiło czulent to na drugi dzień wyjmowało się gorący. Miał taki kolor, jaki powinien mieć.

Anna Mass, ur. 1921

Kiedyś od Bramy Krakowskiej do Kowalskiej szła ulica Nowa. Po jednej stronie były kamienice, po drugiej stronie rynek oraz kramy i budy z pieczywem. W głębi był targ, a na nim cały rząd jatek, pełno mięsa. Żydówki na placu handlowały śledziami w beczkach i kiszonymi jabłkami w wiadrach. Każdy, kto chciał takie jabłko, to kupował na sztuki.

Przy ulicy Nowej było mnóstwo sklepików. Wędliniarnia polska, a dalej galanteria i sklep bławatny Chawkina. Kiedy moja mama przechodziła obok tego sklepu wołał: „Pani Trojnikowa, mam dla pani sam cymes!”. Wszystko było cymes, wyciągał belki materiału i rozkładał: „To na bluzeczki, to na mundurki, to dla Zosi, to dla Irenki, to dla pani. Och, co ja tu mam dla pani!”. „Panie Chawkin, ale ja nie mam tyle pieniędzy przy sobie”, „A czy ja się pani pytam o pieniądze. Niech pani bierze i niech pani idzie z Bogiem. Ja się pani nie pytam, bo pani i tak przyniesie”. Mama pierwszego brała wypłatę i rozliczała się.

Zofia Kłępka, ur. 1927

**LUBLINIANIE, OTWÓRZCIE
SVOJE RODZINNE ARCHIWALNE
Z PRZESŁANYCH PRZEZ
WAS ZDJEĆ I INNYCH
MATERIAŁÓW ARCHIWALNYCH
STWORZYMY KSIĘGĘ,
KTÓRA UPAMIĘTNI 100-LECIE
ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI
PRZEZ POLSKĘ.**

Na skany Waszych
archiwaliów czekamy
pod adresem
pa.ra@tnn.lublin.pl
Więcej informacji na stronie
teatrnn.pl/para/ksiega



WIELKA KSIĘGA NIEPODLEGŁOŚCI

DRAMA

W KILKU AKTACH



Twórcy lubelskiego Golema.
Od prawej: Marek Arnsztein,
Maharal (Bolesław Roslan)
i Golem (Stanisław Dąbrowski).



Akt drugi – Golem, Maharal i jego wnuczka Debora (Hilda Skrzydłowska).



Akt trzeci – w synagodze.

„Literarisze Bleter”, nr 3, 1928
(Żydowski Instytut Historyczny
im. E. Ringelbluma w Warszawie).

W styczniu 1928 roku stołeczny „Nasz Przegląd” relacjonował: „Spokojny, mile zazwyczaj drzemający, inteligentnie się nudzący i dyskretnie ziewający Lublin – nagle zakipiał”. Oj, zakipiał! Oj, zawrzało! Kopciło i dymilo, że aż strach! Buchało i grzmiało, a mia sto zatrzęsło się w posadach. Powód? W Teatrze Miejskim wystawiono „Golema”.

Cale to zamieszanie wybuchło za sprawą Marka Arnsztejna, czyli Andrzeja Marka (nie mylić z Markiem Arnsztajnem, mężem poetki Franciszki Arnsztajnowej). Ten polski Żyd i żydowski Polak rodem z Warszawy jak mało kto czuł się jednym i drugim naraz. Już od początku XX wieku udzielał się jako dziennikarz, ale jego prawdziwą miłością był teatr. I właśnie w nim upatrywał sposób na zasypanie przepaści dzielącej Żydów i Polaków. A jeśli nie na jej zasypianie, to chociaż wybudowanie nad nią mostu. Pierwsze cegiełki stawiał sam – pisał po polsku sztuki o tematyce żydowskiej, niektóre adaptując na potrzeby raczkującego wtedy kina. Potem brał się za dzieła uznanych twórców żydowskich, które tłumaczył, inscenizował i reżyserował dla polskiej widowni. I stąd właśnie, w 1928 roku, zjawił się w Lublinie z „Golemem” według sztuki Halperna Lejwika.

NAJPIERW MOSKWA, POTEM LUBLIN

Chyba najwcześniejsza legenda o golemie pochodzi z Chełma i dotyczy rabina Eliasza. Gdzieś w drugiej połowie XVI wieku ten uczony kabalista miał ulepić postać przypominającą człowieka, która służyła mu do pracy. Ożywić miała ją moc samego Słowa, w tym przypadku hebrajskiego emet – prawda, umieszczonego na specjalnym wisiorku. Kiedy stworzenie urosło za bardzo i zaczęło być niebezpieczne, reb Eliasz obrócił golema w proch, usuwając wisiorek, a według innych tylko pierwszą literę, przez co słowo emet zmieniło się w met – martwy. Najbardziej znana wersja legendy, na której oparta była również sztuka Lejwika, dotyczy jednak działalności Jehudy Lejba ben Becalela zwanego Maharalem. Pod koniec XVI wieku ten praski rabin ulepił golema dla ochrony Żydów przed

prześladowaniami. Istota, której nadano imię Josel, wymknęła się w końcu spod władzy stwórcy i obróciła swoje moce przeciwko Żydom. Maharal zdołał zniszczyć golema, wyjmując z jego ust karteczkę z Imieniem Bożym, a gliniane truchło miano na zawsze zamknąć na strychu Staronowej Synagogi w Pradze.

Utwór Lejwika był skrajnie nieszczeniwy i bliżej mu było do poematu niż dramatu. Chociaż rozpisany na role, to bardzo długi, o skomplikowanej strukturze i zwyczajnie trudny. Pełno w nim subtelności i głębokich rozważań o naturze ludzkiej, również o trudnych relacjach między żydami a chrześcijanami. Nie miał także szczęścia. Chociaż Lejwik napisał go w 1920 i rok później ogłosił drukiem, a samą legendę o golemie zdążyły rozślabić już niemiecki film w reżyserii Paula Wegenera i powieść Gustava Meyerinka, dramat przez wiele lat nie zagościł na deskach żadnego teatru. Dopiero w 1925 roku zagrała go w Moskwie znana trupa teatralna Habima, jednak hebrajska przeróbka tak bardzo różniła się od pierwowzoru w jidysz, że nawet Lejwik nie był w stanie rozpoznać w niej swojego dzieła. Wreszcie, pod koniec 1927 roku, „Golema” wziął na warsztat Arnsztein, który przełożył go na polski, skrócił i dostosował do warunków sceny. Na miejsce premiery wybrał Teatr Miejski w Lublinie, dziś noszący imię Juliusza Osterwy, któremu szefował Józef Grodnicki. Nim jednak tytułowa istota mogła wypowiedzieć pierwszą kwestię, wybuchł skandal. Wieść, że Teatr Miejski zamierza wystawić żydowską sztukę, doleciała bowiem do uszu redaktorów gazety „Głos Lubelski”. No i się zaczęło.

NIEZROZUMIAŁE KURIOZUM

„Golem to sztuka wybitnie tendencyjna o charakterze propagandowym – pisał Józef Kan (Kanarowski), redaktor »Głosu« – (...) w sposób prowokujący chrześcijaństwo porusza momenty mordu rytualnego”. I dalej: „ścieżkami krwi zemsty dążą żydzi do opanowania ruin całego świata, które na nich czekają, by rządzić i władać”. Kan żądał podjęcia wobec Grodnickiego kroków administracyjnych, a decyzję o wystawieniu sztuki nazwał prowokacją pod adresem chrześcijan, sam utwór natomiast bluźnierstwem. Przestraszona widmem skandalu i groźbami, dyrekcja teatru poprosiła Arnszteina o usunięcie niewygodnych fragmentów, na co reżyser

w pojedynczym geście się zgodził. Jednocześnie na łamach „Ziemi Lubelskiej” ogłosił list, w którym pisał: „Golem pragnie być przede wszystkim dziełem sztuki i z żadną agitacją lub tendencyjnością nie ma nic wspólnego: jeżeli jednak danem będzie tej sztuce spełnić jakąkolwiek misję społeczną, to chyba raczej pogodzi ona istotnych chrześcijan z żydami, jątrzenie pozostawiając tym osobom, którym budzenie antagonizmów rasowych i religijnych jest potrzebne do celów partyjnych i politycznych”. I Arnsztein, i Grodnicki padli ofiarą niewybrednych ataków. Ale miecz, którym wojował Kan okazał się obusieczny – wkrótce prasa wytknęła mu, że sam jest Żydem i „z domu” nazywa się Kanarienfogel.

Gorąca dyskusja na temat lubelskiego „Golema” odbiła się echem w kraju, pisał o niej wspomniany „Nasz Przegląd”, ale także najważniejszy żydowski magazyn kulturalny „Literarisze Bleter” („Karty Literackie”) z Warszawy. Gazety te przedstawiały sprawę jako niezrozumiałe kuriozum, a pod koniec miesiąca „Ziemia” opublikowała opowiadanie satyryczne podsumowujące absurd całej tej sprawy. Jak na ironię, redakcja „Głosu” wcale nie przestała drukować ogłoszeń zapowiadających premierę „Golema”, która mimo kontrowersji odbyła się wieczorem 6 stycznia 1928 roku.

OPERACJA SIĘ UDAŁA, ALE PACJENT ZMARŁ

Przez miesiąc pobytu na scenie „Golem” zebrał bardzo dobre recenzje. „Express Lubelski” nazwał go jednym z najciekawszych przedstawień sezonu. W zasadniczo antysemitckim lubelskim „ABC” napisano, że „jeśli chodzi o artystyczny punkt patrzenia, to pod względem wystawy, ujęcia reżyserskiego i gry artystów, jest to bezsprzecznie rzecz najlepsza dotychczasowego Teatru Miejskiego w Lublinie”. Żydowski „Lubliner Tuglat” („Dziennik Lubelski”) bronił Arnszteina i Grodnickiego przed atakami „Głosu”, ale samej sztuki nie ocenił zbyt wysoko. Redaktor Jakub Nisenbaum chwalił grę aktorską, scenografię i pomysłowość Arnszteina, ale całą przeróbkę skwitował słowami: „Di operacje iz gelungen, nor der pacjent iz gesztorbn” – operacja się udała, ale pacjent zmarł. Z ośmiu pierwotnych aktów, w wersji Arnszteina zostały jedynie trzy. Nisenbaum wytykał reżyserowi spłycenie dramatu i zbyt

naszpikowanie go akcją, przez co gdzieś po drodze przedstawienie zgubiło ducha. Nie podobało mu się nadmierne uwypuklenie miłości golema do wnuczki Maharala i usunięcie scen niewygodnych dla „Głosu”. Przede wszystkim ubolewał jednak, że po tylu latach od napisania dramatu wciąż nie został wystawiony w jidysz – ani w Warszawie, ani w Lublinie, ani nawet w Nowym Jorku „Golem” nie przemówił we własnym języku.

Arnsztein zrehabilitował się już rok później i w maju 1929 roku przywiózł do Lublina jidyszową wersję „Golema”, chyba też jedną z pierwszych w Polsce, którą z dużym powodzeniem zagrano w teatrze Panteon, dzisiejszym Teatrze Starym. Lublin był może dość miły jego sercu, ale częściej dawał o sobie znać w Łodzi czy Warszawie, gdzie jego inscenizacje odnosiły również znacznie większe sukcesy.

Same golemy jak mało co przeniknęły ze świata żydowskiego do umysłów ludzi na całym świecie. Do dziś tajemniczy, gliniany człekokształt pozostaje jednym z najpotężniejszych wyobrażeń, zapładniających twórczość coraz to nowych pisarzy i artystów. „W legendzie tej – pisano prawie sto lat temu na łamach »Ziemi« – tkwi dramat ideologii człowieka wierzącego w ślepą, brutalną siłę jako środka wyzwolenia, a która to ideologia zwraca się przeciw niemu. Symbolizuje duszę żydowskiego ludu z Ghetta opętowaną strachem, paraliżującym wszelkie poczynania”. Ale nie tylko żydowską – golem to symbol każdej duszy sparaliżowanej strachem. Wyimaginowany obrońca ofiary w potrzasku, która w przerażeniu odwraca wzrok ku tępej sile i przemocy. Taka siła, rozbudzona beznamiętnie ze strachu lub głupoty, przepala swojego twórcę na wylot, a pozorny wybawiciel prędzej czy później zamienia się w oprawcę. W pierwszej scenie dramatu Lejwika sam cień jeszcze nieistniejącego golema odwiedza Maharala i błaga go, by ten nie lepił mu ciała i nie ośmielał się tchnąć w niego życia. „Do czegośkolwiek przyłożę swą rękę – rozsypuje się w proch i pył” – przestrzega. Przemoc i zniszczenie nie są sposobem – tyle i aż tyle chciał powiedzieć Lejwik, a za nim Arnsztein, wielki orędownik polsko-żydowskiej wspólnoty. Nie udało mu się zasypać przepaści dzielącej Żydów i Polaków i nie wybudował nad nią mostu. Ale na pewno przerzucił przez nią małą kładkę, drogę dla „istotnych chrześcijan i żydów”.

Piotr Nazaruk

ANATOMIA

Szyld

Olejnia 7

W lipcu 2016 r. z kamienicy odpadł kavek tynku i odsłonił rosyjski napis. Informował o sklepie, którego właścicielką była Łajja Szpiro. Cabaśś szyldu brzmiała „Chleb i mleko” po rosyjsku.

Studnia

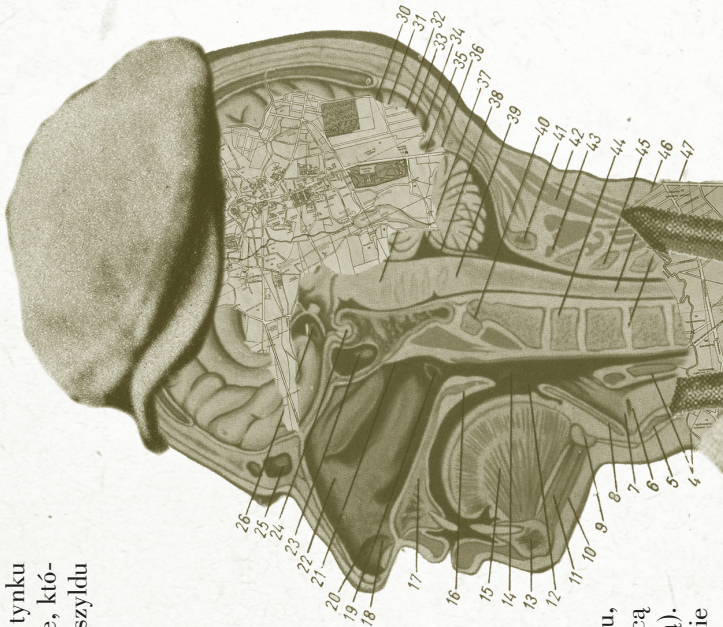
teren dworca autobusowego przy al. Tysiąclecia

Po ulicy Szerokiej pozostała jedynie dawna studnia. Dziś stoi niemal na środku placu manewrowego dla autobusów. Był to jeden ze źródeł ulicznych, z których mieszkańcy czerpali wodę. Jego obudowa datowana jest na 1865 r.

Latarnia Pamięci

ul. Podwale

Stoi tuż obok kościoła św. Wójciecha, w miejscu, gdzie niegdyś ulica Szeroka krzyżowała się z ulicą Krawiecką (obie ulice dziś już nie istnieją). Włączona w 2004 roku latarnia nigdy nie gaśnie i przypomina o żydowskim Lublinie.



Jesziwas Chachmej Lublin

ul. Lubartowska 85

Budynek przedwojennej szkoły rabinackiej, wówczas największej na świecie, otworzonej w 1930 roku staraniem rabina Majera Szapiry, mieści dziś synagogę a także hotel Ilan. Tuż obok znajduje się szpital ginekologiczny, który przed II wojną światową był lecznicą gminy żydowskiej i cieszył się opinią najnowocześniejszej placówki medycznej w mieście.

Kościół ewangelicki

ul. Ewangelicka 1

Kościół wzniesiony dzięki przywilejowi króla Stanisława Augusta Poniatowskiego (otworzony w 1788 r.). Na początku istnienia parafii ewangelickiej zmarłych wiernych chowano tuż obok kościoła. Kilkanaście nagrobków przetrwało do dziś.

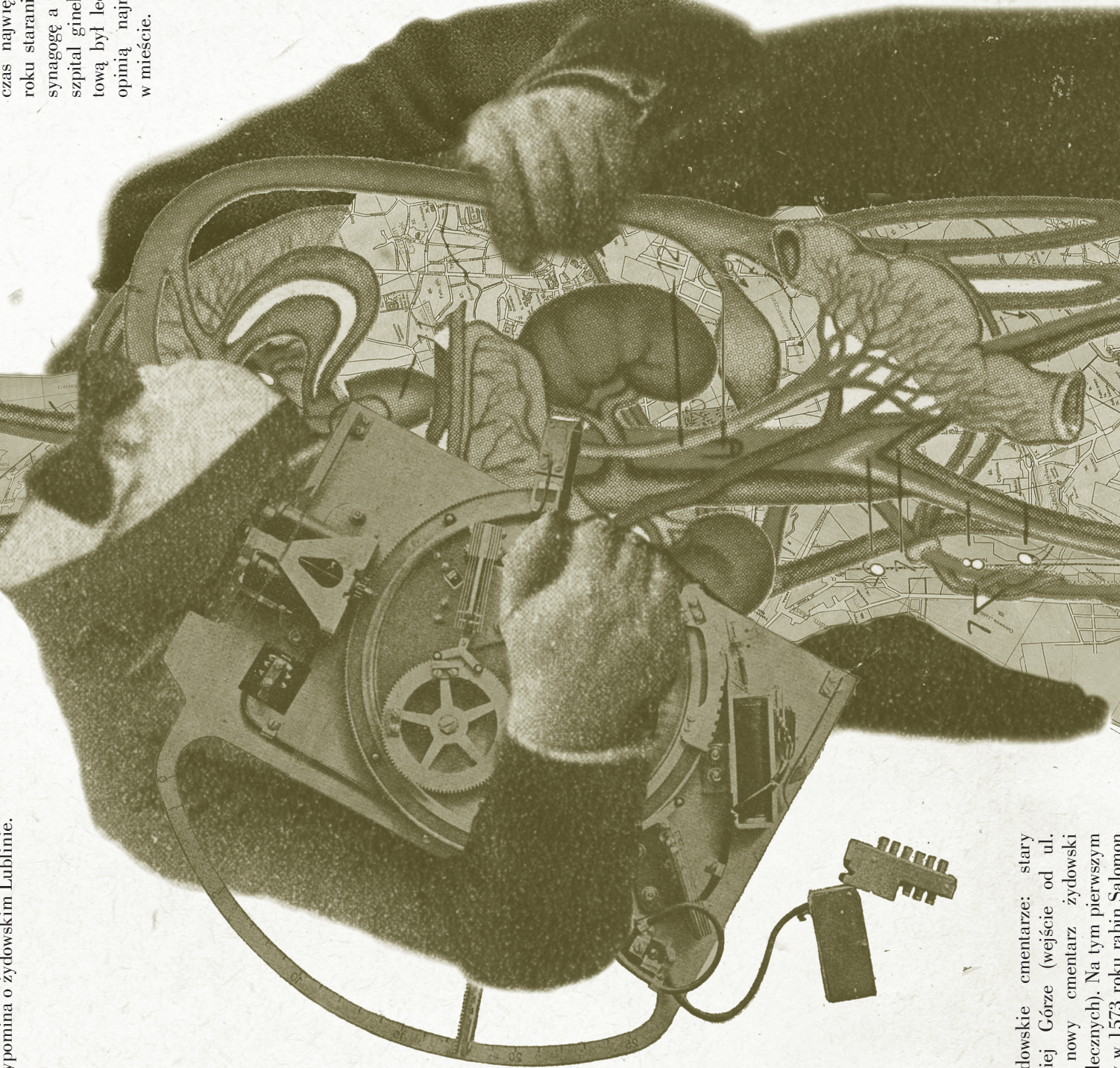
Ze społeczności ewangelickiej wywodzili się ludzie, którzy w XIX wieku położyli podwalny lubelskiego przemysłu: Vetterowite, Plage, Krause, rodziny Moritzów i Hessów. To im Lublin zawdzięcza duże zakłady przemysłowe: fabrykę kotłów (późniejsze zakłady lotnicze Plage i Łaskiewicz), fabrykę maszyn rolniczych, fabrykę wag, browary, destylarnie wódek.

Cerkiew katedralna pw. Przemienienia Pańskiego

ul. Rуска 15

Najważniejsza świątynia lubelskich prawosławnych jest dzięki swej architekturze idealnym symbolem wymieszania się kultur i wpływów chrześcijaństwa wschodniego i zachodniego w Lublinie. Nie jest przesadą porównanie z Kaplicą Świętej Trójcy na Zamku: tam typowo gotycki kościółek z czerwonej cegły skrywa we wnętrzu rusko-bizantyjskie malowidła, zaś cerkiew przy ul. Ruskiej, z wyglądem zewnętrznym podobnym do licznych na Lubelszczyźnie kościołów zbudowanych w stylu tzw. renesansu lubelskiego, ma wnętrze urządzone według cerkiewnego kanonu architektonicznego.

Budowę ukończono w 1633 r. Historia tej świątyni jest równie burzliwa, jak dzieje chrześcijaństwa na ziemiach dawnej Polski. Jej budowa rozpoczęła się staraniem Lubelskiego Bractwa



Lubelski kirkut

Przetrwały dwa żydowskie cmentarze: stary kirkut na Białkowskiej Górze (wejście od ul. Kalinowszczyzna) i nowy cmentarz żydowski (z wejściem od ul. Walecznych). Na tym pierwszym smorzewa m.in. zmarły w 1573 roku rabin Salomon

(z wejściem od ul. Walecznych). Na tym pierwszym spoczywa m.in. zmarły w 1573 roku rabin Salomon Luria, zwany Maharszalem (co było skrótem od długiego hebrajskiego przydomka tłumaczonego na polski jako „Nasz Nauczyciel Salomon Luria”). Na jego cześć synagogą Maharszala nazywano wzniesioną około 1567 roku Wielką Synagogę. Gdyby dziś istniała, stałaby obok Wzgórza Zamkowego, na samym środku ruchliwej al. Tysiąclecia. O synagodze Maharszala przypomina skromna, prawie niewidoczna granitowa tablica ustawiona u podnóża stołu Wzgórza Zamkowego. Na starym kirkucie znajduje się również grób cadyka zwanego Widzącym z Lublina.

Cmentarz prawosławny

przy ul. Lipowej

Nagrobki z rosyjskimi napisami to ślad po stuletniej obecności Rosjan w Lublinie w latach 1815-1915. Zostali tam pochowani rosyjscy wojskowi, policjanci, urzędnicy i ich rodziny.

Najstarszy nagrobek prawosławnej części nekropolii przy ul. Lipowej pochodzi z 1843 roku. Jeszcze kilka lat temu były zaniedbane, zapomniane, pokryte mechem a erozja zacierała wyryte cyrylicą nazwiska. Dzięki staraniom lubelskiego oddziału Towarzystwa Opieki nad Zabytkami i prawosławnej parafii katedralnej pw. Przemienienia Pańskiego udało się odrestaurować niektóre z nich.

Rosyjskim śladem z czasów Lublina epoki zaborów jest także dzisiejszy kościół garnizonowy przy Al. Racławickich 20 – wówczas garnizonowa cerkiew. Modlili się w niej żołnierze carskiej armii stacjonujący w tzw. koszarach świętokrzyskich, czyli w miejscu dzisiejszego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Rosyjska społeczność obecna w Lublinie liczyła około 6 tysięcy osób. Byli wśród nich także ludzie z elity carskiej Rosji, szlachta, naukowcy, artyści. Miasto było miejscem rodzin znanych później w Rosji postaci jak śpiewaczka Vera De Luce (zm. w Moskwie w 1977 r.), czy barwna postać pierwszych lat Rosji sowieckiej pisarka Larisa Reisner (zm. w Moskwie w 1926). Po ewakuacji Rosjan w 1915 roku antyrosyjski sentyment sprawił, że niemal w całości wymazano pamięć o ich 100-letniej obecności.

Architektoniczną pozostałością po czasie zaborów jest jeszcze m.in. dzisiejszy Sąd Rejonowy przy Krakowskim Przedmieściu wniesiony pod koniec XIX w. decyzją carskiego Ministerstwa Sprawiedliwości (Krakowskie Przedmieście 76).



chrześcijańska na ziemiach dawnej rosyjskiej diocedowa rozpoczęła się staraniem Lubelskiego Bractwa Cerkiewnego w 1607 roku, w okresie, gdy władze państwowe promowały nowe wyznanie unickie utrudniając funkcjonowanie prawosławia. Jednak, gdy w 1633 roku ukończono budowę, nową cerkiew poświęcił metropolita kijowski Piotr Mohyla (skrzyżowanie ul. Ruskiej z Lwowską i ul. Podzamcze nosi własne jego imię), gdyż nowy król Władysław IV Waza był znacznie bardziej tolerancyjny wobec różnych wyznań chrześcijańskich, niż jego skłaniający się do katolickiej ortodoksji ojciec Zygmunt III Waza. Pod koniec XVII wieku, w 1695 roku, cerkiew jednak przejęli unicy i pozostawała ona w ich władaniu do 1875 r. Wtedy, na fali represji po powstaniu styczniowym i nasilającej się rusyfikacji, władze carskie w ramach akcji nawracania unitów na prawosławie zlikwidowały lubelską parafię grekokatolicką i przekazały cerkiew prawosławnym. W niepodległej Polsce od 1920 roku cerkiew jest nieprzerwanie centrum życia religijnego lubelskich prawosławnych.

Pomnik Żołnierzy Ukraińskiej Republiki Ludowej

prawosławna część cmentarza przy ul. Lipowej

Monument stoi obok kwater żołnierzy armii Ukraińskiej Republiki Ludowej i Ukraińców, którzy po 1920 roku znaleźli się na emigracji w Polsce oraz w pobliżu cmentarnej cerkwi pw. Świętych Niewiast Niosących Wonomości, zbudowanej w latach 1902-03.

Pomnik jest symbolem prawie stuletniej obecności Ukraińców w Lublinie. Była ona pokłosiem polsko-ukraińskiego sojuszu zawartego przez Józefa Piłsudskiego i Symeona Petlurę w 1920 roku przeciwko bolszewickiej Rosji. Oddziały Petlury walczyły wraz z Wojskiem Polskim w czasie najbardziej zaciętych bitew w czasie kulminacji wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku. W toku wojennej zawieruchy, gdy wojska polskie i ukraińskie napierane przez armie Tuchaczewskiego i Budionnego wycofały się z Ukrainy na Lubelszczyznę, w mieście znalazło się wielu Ukraińców. W gorących dniach sierpnia 1920 roku, gdy wszyscy obawiali się, że łada dzień Lublin zostanie zaatakowany przez bolszewików ukraiński kapitan Ryhalcko-Ryhalczenko apelował, za pośrednictwem lubelskich gazet, by obecni w mieście żołnierze armii URL zgłaszali się do służby przy walczącej armii polskiej.

Po zakończeniu wojny i upadku URL podobnie jak Petlura wielu jego żołnierzy pozostało na emigracji w Polsce, w tym w Lublinie. Wielu weszło w skład odradzającej się wspólnoty prawosławnej przy katedralnej cerkwi pw. Przemienienia Pańskiego.

tekst: Marcin Bieleśz

ROZMOWA Z VOLODYMYREM DYSHLEVUKIEM*

W ciągu ostatnich lat studia w Polsce stały się dla Ukraińców czymś powszechnym. Spowodowało to, że można spędzić całe swoje studia w Lublinie i nie odczuć potrzeby porozmawiania z miejscowymi.

Grzegorz Jędrek: Jesteś wikipedystą, tak?
Volodymyr Dyshlevuk: Byłem. Przez kilka lat.

Ile artykułów w tym czasie edytowałeś?
Prawie sto. W ukraińskiej wersji językowej, w polskiej i trochę w angielskiej.

Ile z nich dotyczyło Polski?
Kilkanaście na pewno.

Skończyłeś na Ukrainie psychologię, robiłeś doktorat. Kiedy postanowiłeś, że chciałbyś przyjechać do Polski?

Miałem przerwę w doktoracie związaną z chorobą mojego promotora i postanowiłem, że skoro mam wolny rok, to można spróbować czegoś jeszcze. Szukałem możliwości wyjazdu za granicę. Pisałem akurat do Wikipedii artykuł o Wolontariacie Europejskim i wtedy pomyślałem: „Hm, ciekawa rzecz. Może sam spróbuję?”. Przeglądałem sporo ofert, jakoś nic mi nie pasowało, ale kiedy zobaczyłem ofertę wolontariatu w Lublinie, w Bramie Grodzkiej, od razu zrozumiałem, że to jest moje. Od razu.

Mieszkam w tym samym pokoju, gdzie Jurij Matuszczak, który też był wolontariuszem w Bramie Grodzkiej. Patrzył przez to samo okno, przez które ja teraz patrzę. I widział ten sam widok – osiedle Mickiewicza na LSM. Pochodził z Donbasu i kiedy zaczęła się wojna, poszedł bronić swego domu, swej ojczyzny. Nie przeżył.

Z rejestru mieszkańców miasta Lublin wynika, że obecnie zameldowanych jest tu 1 812 obywateli Ukrainy na pobyt stały lub czasowy. Jeśli chodzi o dane studentów z Ukrainy, w tym roku akademickim (tj. 2017/2018) Urząd Miasta szacuje, że będzie to liczba około 3 600 osób. W poprzednim roku akademickim (2016/2017) na lubelskich uczelniach studioowało 3 462 studentów z Ukrainy.

Czy Ukraina tęskni za Zachodem? Cała Ukraina?
Regionem, który na pewno nie tęsknił był Krym i chyba już poszedł tam, gdzie chciał. Wbrew prawu, ale poszedł. W przypadku pozostałych regionów, czy ludzi, to tak – większość jednak ciąży do Zachodu. Na Wschodzie już byliśmy i nic dobrego tam nie znaleźliśmy.

Obecnie pracujesz przy jednym z projektów Bramy Grodzkiej, ale też zacząłeś studia.

Studia historyczne. Moja praca magisterska dotyczy wspólnoty greckokatolickiej w Lublinie. Dotychczas nikt nie zgłębiał tego tematu, mimo że grekokatolicy są tu od setek lat. A ponieważ całkowicie brak źródeł, w tej części mojej pracy, która dotyczy czasów najnowszych, po prostu chodzę do ludzi, do osób w starszym wieku i rozmawiam z nimi. Już od pierwszego wywiadu rozumiałem, że ci ludzie mają sporo do powiedzenia.

O co ich pytasz?

Grekokatolicy mieli dość duże ograniczenia w czasach PRL-u, sama struktura Kościoła została praktycznie zlikwidowana. Dlatego pytam o to, jak ludzie potrafili zachować swoją tożsamość religijną mimo wszystkich ograniczeń. Podziwiam tych ludzi. Kiedy w jednym miejscu robiono im na tyle duże przeszkody, że nie dało się już wytrzymać, po prostu wyjeżdżali, ale nadal kontynuowali to, co uważali za najważniejszą wartość.

Czy to jest takie środowisko, które jest pewnego rodzaju wspólnotą? Czy to raczej zbiór ludzi, którzy tutaj mieszkają i łączy ich tylko wizyta w cerkwi?

To zależy od tego, czy my rozmawiamy o tych ludziach, którzy mieszkają w Polsce od pokoleń, czy o tych, którzy tutaj dopiero przyjechali. Lublin teraz, jako miasto studenckie, jest postrzegany przez młodzież ukraińską jako takie miejsce tranzytowe, do którego przyjeżdża się, studiuje i później gdzieś wyjeżdża dalej. I widzę, że młodzież nie jest bardzo przywiązana do Lublina i tu zostaje może jakiś 1 proc. Dla tych, którzy tu mieszkają od pokoleń to jest coś innego, dla nich był to wybór świadomy miejsca zamieszkania w Lublinie i oni są już przywiązani, już czują łączność z tym miejscem.

Jest problem z nacjonalizmem na Ukrainie? Widzisz zjawiska podobne do tych w Polsce?

Podobne zjawiska są chyba wszędzie. We wszystkich krajach europejskich.

Ale w jednych bardziej się nasilają, a w innych mniej, prawda? Czy masz poczucie, że nasila się jakiś rodzaj ukraińskiego nacjonalizmu?

Mam poczucie, że był wzrost tego zjawiska podczas Majdanu i u samych początków wojny rosyjsko-ukraińskiej. Nie był to raczej nacjonalizm ukraiński skierowany przeciwko wszystkim, lecz skierowany przeciwko Rosji. Jeżeli mówić o nacjonalizmie antysemickim czy antypolskim, czy jeszcze jakimś, to jest to całkowity margines. Antyrosyjski tak, o to łatwiej.

Jak ty pamiętasz czasy Majdanu, czyli czas pomiędzy listopadem 2013 a lutym 2014? Jak go zapamiętasz, albo jak będziesz chciał o nim opowiadać?

Nie będę chciał o nim opowiadać, ponieważ są to rzeczy tragiczne. Są to rzeczy... o których trudno mówić. Mimo że w tych dniach lutego, kiedy najgorsze rzeczy się działy, byłem nie w Kijowie, a w swojej miejscowości – w Chmielnickim, to kilka metrów ode mnie została zastrzelona kobieta. Nie wiem, czy chciałbym o tym rozmawiać, to wspominać, to... Nie. Kilka lat po tym wydarzeniu, kiedy mój kolega, pracujący w prokuraturze, poprosił mnie, bym obejrzał wideo [z tamtego zdarzenia – przyp. red.], żeby zidentyfikować jedną z osób, po raz pierwszy powróciłem do tych wydarzeń. Po raz pierwszy obejrzałem wideorelację z tego wydarzenia. To było trudne.

Jak wygląda teraz środowisko młodych Ukraińców w Lublinie?

Smutnie. Kiedy Ukraińców było troszeczkę mniej musieli się integrować, musieli rozmawiać z Polakami, musieli jakieś wspólne imprezy organizować, dlatego że nie było wyjścia. Było tutaj Ukraińców mało. W ciągu ostatnich lat studia w Polsce stały się dla Ukraińców czymś powszechnym. Spowodowało to, że można spędzić całe swoje studia w Lublinie i nie odczuć potrzeby porozmawiania z miejscowymi ludźmi, odwiedzenia jakiegos lokalnego wydarzenia. I to jest bardzo smutne.

Rozmawialiśmy kiedyś i powiedziałem, że być może powinno być więcej wydarzeń specjalnie dla Ukraińców w Lublinie i wtedy bardzo mocno i zdecydowanie zaprzeczyłeś. Dlaczego?

I teraz też zaprzeczę. Jestem całkowitym przeciwnikiem specjalnej oferty, skierowanej wyłącznie do Ukraińców, czy do innych narodowości. Kiedyś byłem na jakimś spotkaniu, już nie pamiętam szczegółów, w każdym razie chodziło o samorząd uczelniany i pytano, czy jest potrzeba, żeby oprócz rady studenckiej uczelnianej była jeszcze rada studencka mniejszości narodowych. To jest bez sensu.

Dlaczego?

Dlatego, że takie podejścia będą dzielić. Nie będą łączyć. Dobra oferta kulturalna, z której może skorzystać Ukrainiec będący w Polsce, według mnie to jest taka oferta, takie wydarzenie, gdzie są wszyscy. I wszyscy otrzymują jakąś korzyść, wszyscy dobrze się bawią, bez różnicy na to, jakiej jesteś narodowości.

A jaki jest twój Lublin?

Lublin jest dla mnie miejscem, z którym czuję się w szczególny sposób związany. To miejsce, które mnie urzeka na różne sposoby, które odkrywam codziennie. Staram się zauważać jakieś drobne szczegóły architektury. Staram się zauważać ludzi, rozmawiać z nimi, zwiedzać jakieś miejsca w Lublinie lub w najbliższych okolicach i to po prostu ogromna warstwa ciekawych rzeczy, na które może nie zwróciłbym nigdy uwagi, gdybym tutaj się urodził i to byłoby dla mnie codziennością.

ROZMOWA

* Volodymyr Dyshlevuk, rocznik 1988, regionalista, miejski przewodnik, absolwent psychologii. Współpracownik Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”. Pochodzi z Podola na Ukrainie. Od kilku lat mieszka w Lublinie, gdzie studiuje historię na UMCS.



KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE

Sobór na placu Litewskim w Lublinie, przełom XIX i XX w., fot. nieznan, pocztówka

SOBÓR
W PAMIĘCI

Wielka prawosławna świątynia jest dziś znana miłośnikom historii Lublina ze starych zdjęć, na których widać wieżę górującą nad placem Litewskim. Wiosną 2016, podczas przebudowy placu Litewskiego, natrafiono na jej pozostałości. Padła nawet propozycja, by zachowane fragmenty obiektu były widoczne dla przechodniów.

Sobór, który zbudowano w sercu miasta w latach 1873-1876, był dla ówczesnych lublinian symbolem carskiego ucisku i rusyfikacji. Musieli przyjmować go z równie dużą niechęcią, jak mieszkańcy Warszawy sobór wzniesiony tam na placu Saskim.

Lubelska świątynia otrzymała wezwanie Podwyższenia Krzyża Świętego i została podniesiona do rangi katedry prawosławnego biskupstwa warszawsko-chełmskiego, choć biskupi zwykle rezydowali w Chełmie. Warto dodać, że w latach 1897-98 Lublin był przez to biskupią stolicą późniejszego patriarchy moskiewskiego Tichona, który kierował patriarchatem Moskwy na początku rządów bolszewików i został poddany ich szykanom. Dziś jest uważany przez Cerkiew prawosławną za świętego.

W Lublinie końca XIX i na początku XX w. sobór był najważniejszą prawosławną świątynią. Modlili się tu Rosjanie osiedli w Lublinie, a w liturgii używano rosyjskiej odmiany języka cerkiewnosłowiańskiego.

Biała elewacja i zieleń kopuł przyciągały wzrok wszystkich obecnych w śródmieściu. Licząca sobie 43 metry wieża wyraźnie górowała nad okolicą. Przytłaczające wrażenie ogromu soboru nieco zniwelował dopiero okazały budynek Kasy Przemysłowców Lubelskich, wzniesiony na początku XX wieku (dzisiejszy Grand Hotel Lublinianka).

Jak większość prawosławnych świątyń, wnętrze soboru było bogato zdobione. Uwagę przyciągał wykonany w Moskwie ikonostas i olejne obrazy. W 1915 roku, gdy Rosjanie opuszczali centralną Polskę ewakuując niemal wszystko co mogli, zabrali z Lublina całość wyposażenia wraz z lubelską ikoną Matki Boskiej, uważaną od wieków przez lubelskich prawosławnych za cudowną. Cerkiewne wyposażenie z Lublina złożono w moskiewskim monasterze Czudow, gdzie przepadło w rewolucyjnej zawierusze, jaka od 1917 roku pustoszyła Rosję.

Po odrodzeniu niepodległej Polski sobór przekazano na potrzeby ordynariatu połowego Wojska Polskiego, ale silne antyrosyjskie nastroje w społeczeństwie, dodatkowo podgrzane wojną z bolszewicką Rosją spowodowały, że w Lublinie, jak i w innych miastach zapadały decyzje o rozbiórce prawosławnych świątyń, wzniesionych w czasie zaborów. Rada miasta wydała zgodę na usunięcie soboru w 1923 roku i rok później ruszyły prace przy rozbiórce. Trwała rok, a pozyskane z niej materiały budowlane wykorzystano do postawienia Domu Żołnierza im. Marszałka Józefa Piłsudskiego przy ul. Zwirki i Wigury.

Wiosną 2016 roku, podczas ostatniej przebudowy placu Litewskiego, odkopano pozostałości soboru. Ceglane mury znajdowały się około metra pod ziemią. Wtedy padł nawet pomysł, by resztki obiektu widoczne były dla przechodniów przez specjalną szybę. Na przeszkodzie takiego rozwiązania stanął jednak harmonogram zaplanowanych prac, które przez to mogłyby się opóźnić. Ostatecznie pozostałości świątyni zasypano i po prawosławnym soborze nie ma śladu w obecnej przestrzeni Lublina.

Marcin Bieleś

Antysemityzm przed II wojną światową – powiedzieć, że był powszechny, to duży eufemizm. Miał różne przyczyny i różnie się przejawiał. Napięcia polsko-żydowskie występowały na co dzień, ale można było inaczej.

W miasteczku Rejowiec, tuż przed wybuchem wojny, 21 czerwca 1939 roku, odbyła się wizytacja biskupa z Lublina Władysława Górala. Dziś błogosławionego Kościoła katolickiego – męczennika, który zginął w obozie koncentracyjnym. W czasie swojego przemówienia, wygłoszonego na zakończenie roku szkolnego, przestrzegając: „...aby w Rejowcu nie doszło do działań samowolnych,

samosądów a w najgorszym przypadku pogromu. Nauka Kościoła nie podziela działań rasistowskich. Wielkim grzechem w stosunku do bliźniego jest żądanie dla bliźniego, w tym przypadku dla uczniów żydowskich, odrębnych klas oraz usunięcia ze szkoły nauczycieli wyznania mojżeszowego. Należy się wstydzić, że ulega się podszeptom i za wszelkie niegodne praktyki antysemityczne. Postawił zgromadzonym pytania, dlaczego tak szybko ulega się celowym działaniom prowokatorskim? Dlaczego w Rejowcu była możliwa taka prowokacja? Czy społeczność rejowiecka nie słyszała i nie czytała, co się dzieje w państwie III Rzeszy? Do czego to doprowadzi?” – cytuję za Zdzisławem Kalinowskim.

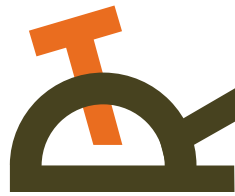
Słowa te były echem prowokacji wymierzonej w nauczycielkę szkoły powszechnej z pochodzenia Żydówkę, oskarżoną o „lżenie narodu polskiego”. Prokuratura postępowanie umorzyła. Ale sytuacja nie była spokojna – stąd zaplanowana wizytacja biskupa i słowa wzywające do pojednania. Wtedy wielu publicystów i polityków, także księży katolickich, wzywało do bojkotu sklepów żydowskich, dochodziło do pogromów, napaści na domy żydowskie. Utożsamiano powszechnie Żydów z ideologią i ruchem komunistycznym, oskarżając m.in. o to, że „Żydzi noszą we krwi swojej tradycyjną nienawiść do chrześcijaństwa”. Żądano tzw. getta ławkowego, „numerus clausus,

numerus nullus”. To nie były czasy dialogu i tolerancji. Nacjonalistyczne hasła, wprowadzane w czyn, podsycały napięcie, antysemityzm i pogromy. Ale warto tu owo przemówienie biskupa Władysława Górala przypomnieć, bo można było inaczej. A wszystkim, którzy chcieliby się zapoznać z reakcją polskiej inteligencji przeciwko antysemityzmowi polecam antologię „Przeciw antysemityzmowi 1936-2009” w opracowaniu Adama Michnika, Universitas, Kraków 2010. Tam są teksty z całego spektrum reakcji na przejawy antysemityczne, pochodzące od polskich komunistów (Wanda Wasilewska) do polskich katolików (Jan Paweł II).

Tomasz Dostatni OP

R E T R O K R Y M I N A Ł K I

Pacjenci w Szpitalu Wojskowym w Chelmie, fot. Abram Zylberberg, [kolekcja szklanych negatywów z kamienicy Rynek 4]



Łąki nadbystrzyckie wymagają opieki policji

P. Józef Borkowski (Przemysłowa 23) zmęczony pracą, spieczony słońcem i spocony zapragnął spaceru i w tym celu wybrał się na Aleję Marszałka Piłsudskiego. Jeśli chodzi o wybór miejsca spaceru to pochwalany myśli p. Borkowskiego – Aleja Piłsudskiego jest bezsprzecznie najsympatyczniejszym miejscem spaceru w naszym mieście – jednakowoż nie możemy mu darować i przemilczeć towarzystwa Stanisława Ziemięckiego (Lubartowska 62), Marji Mazur (Czechowska 7), i Zofji Gładysz (Ogródek Rusalka), w którym znalazł się na spacerze, tembardziej, że towarzystwo to skradło mu z kieszeni 300 zł gotówką. Obok nieszczęścia p. Borkowskiego zauważyć należy, że policja nasza zamała interesuje się Nadbystrzycką Aleją. Należy pamiętać o tem, że łąki lubelskie w miesiącach letnich są zbiorowiskiem różnego rodzaju mętów społecznych.

„Ziemia Lubelska”, 12 lipca 1929

Niemile przyjęcie u teściowej

Mieszkaniec Wilna Władysław Ch. przyjechał przed kilku dniami do Lublina w sprawach osobistych, m. in. dla załatwienia pewnych formalności (być może posagowych) ze swą teściową, zamieszkałą przy ulicy Narutowicza. Onegdy wieczorem wybrał się z wizytą. Krótko jednak tam bawił, gdyż teściowa mając do pomocy szwagra – wyprawili mu taką „łaźnię”, że uszedł ledwo z życiem. Pobity, zakrwawiony i nieprzytomny z bólu i strachu, dowlókł się do rogu ulic Szopena i Narutowicza, gdzie padł na chodnik. Powstało zbiegowisko. Zjawił się wkrótce przedstawiciel władzy bezpieczeństwa, karetka Pogotowia Ratunkowego. Lekarz stwierdził niebezpieczny wstrząs mózgu i po udzieleniu pierwszej pomocy, przewiózł rannego na kurację do szpitala Szarytek. Jakże były bliższe powody krwawego zajścia – narazie niewiadomo, sprawa wyjaśni się prawdopodobnie całkowicie przed Sądem.

„Kurier Lubelski”, 11 marca 1932

WIENIAWA PANY CZYLI HISTORIA CHŁOPAKÓW Z CZECHOWA

Przed wojną na chłopaków, dla których podstawowym argumentem była pięść, mówiło się w Lublinie „chłopaki z Czechowa”. W młodzieży buzowało, a że w tej dzielnicy (nazywanej przed wojną na przemian Czechowem i Wieniawą i obejmującej część obu tych dzisiejszych dzielnic), nie brakowało ani powodów, ani okazji, ciągle dochodziło tam do burd.

Na początku lat 30. kilku takich chłopaków z Czechowa skrzyknęło się i zamiast urządzać bijatki, zaczęło grać w piłkę. Puste trawniki zamieniali w osiedlowe boiska i rozgrywali mecze z innymi „dzikimi” drużynami. Ponieważ szło im nieźle, pojawił się pomysł przekształcenia grupy w prawdziwy klub. Wkrótce tych kilku chłopaków rzuciło wyzwanie prawdziwym asom lubelskiego futbolu. Przed chwilą grali jeszcze szmacianą piłką na łąkach i polach, a teraz szli jak burza do klasy A. Tak narodziła się żydowsko-polska Wieniawa.

W 1933 roku młodzieżka Wieniawa weszła do oficjalnych rozgrywek i szturmem zdobyła lubelską klasę C. Rok później powtórzyła sukces i śmiało rozpychała się w klasie B, deklasując kolejnych rywali. Po drodze drużyna zaważczała o puchar „Expressu Ilustrowanego” i w czerwcu tego roku starła się w finałowej rozgrywce z żydowskim klubem Gwiazda – Stern o mocnej i ugruntowanej pozycji. Piłkarze Wieniawy rozgromili Gwiazdę, zdobywając tym samym puchar gazety.



Czechów triumfował, a drużyna zyskiwała coraz większe rzesze fanów. Na mecze Wieniawy zaczęli przychodzić nawet bardzo pobożni Żydzi, którzy z zasady omijali tego rodzaju światowe rozrywki. Jeszcze w czerwcu Wieniawa rozegrała przyjacielski mecz z Hapoel, jedyńą wówczas żydowską drużyną z Lublina, która grała w klasie A. Hapoel (czyli Robotnik) również zaczynał jako „dzika” drużyna amatorska Neszer (Orzeł), ale pod koniec lat 20. stał się oficjalną przybudówką partii Poalej Syjon Prawica, a co za tym idzie otrzymał solidne wsparcie i finansowanie. W spotkaniu z Wieniawą hapoelowcy grali mocno i zdecydowanie. Do przerwy prowadzili 3:0, a cały mecz zakończył się kłęską Wieniawy, która przegrała upokarzającym wynikiem 8:0. Zimny prysznic postawił graczy Wieniawy na nogi. Przez kolejne trzy miesiące pokonali Jutrznę – Morgensztern, Hakoach (Siła), ponownie Gwiazdę i lubartowskie Bar Kochbę i Lewart, uzyskując najlepszy wynik i zasłużony awans do klasy A.

W 1935 roku w historii Wieniawy zaczęła się nowa epoka. Po pierwsze grała z najlepszymi, a po drugie dołączyło do niej czterech polskich zawodników, przez co stała się drużyną żydowsko-polską. Zasilona świeżą krwią Wieniawa walczyła dzielnie w klasie A i odniosła kilka heroicznych zwycięstw i remisów z prawdziwymi potęgami – WKS Unia, AZS-em czy klubem przy fabryce samolotów Plage i Łaskiewicza. Młoda drużyna nie zdołała jednak na stałe przełamać obrony i morale swoich rywali i wkrótce zaczęła notować więcej porażek niż sukcesów. W maju 1935 roku drużyna wywalczyła remis z doskonałą Unią. W pierwszej połowie prowadziła 2:1, ale w ostatnich 3 minutach drugiej połowy zawodnicy Unii wyrównali wynik. W meczu rewanżowym w sierpniu Wieniawa poniosła już smrotną kłęskę i przegrała 6:0. Mimo to zdołała utrzymać się w klasie A i wyprzedziła w punktacji Hapoela, który jeszcze przed rokiem bezwzględnie roznosił ją po murawie. W następnym sezonie polscy gracze opuścili Wieniawę, ale mimo to i tym razem drużyna utrzymała się w klasie A, choć już cudem.

Później wszystko się posypało, między innymi dlatego, że zamiast sportem, niektórzy zawodnicy woleli zajmować się agitacją na rzecz nielegalnej partii komunistycznej. Mimo walki kierownictwa z taką działalnością, ostatecznie klub zlikwidowano i razem z drużyną piłkarską zamknięto także sekcje ping-ponga i bokserską Wieniawy. Takich niewielkich klubów – polskich i żydowskich – było w przedwojennym Lublinie i innych miastach bardzo wiele. Zawiaływały się i rozwiązywały, łączyły i ponownie rozchodzily. Dawni przeciwnicy stawali się kolegami z jednej drużyny i odwrotnie. Wszystkich tych młodych ludzi, kopiących piłkę na pustych placach a potem prawdziwych boiskach, rozsadzała nie-spożyta energia, pragnienie przekraczania samych siebie i zwycięstwa. Wieniawa zagościła na lubelskiej murawie na krótko, ale wkroczyła na nią z takim impetem, że na chwilę mocno zamieszalała w lokalnej lidze. Na tle rywali wyróżniał ją także krótki żydowsko-polski epizod, kiedy jej zawodników połączyło coś więcej niż rywalizacja – współpraca.

Piotr Nazaruk

SŁOWA SĄ WOLNE

Poezja jest dla ludzi, jest wolnością słów, jest słowem właściwie użytym – warto przy niej obstawać. Zwłaszcza dziś, w świecie słów na posyłki, słów udręczonych i ogłupiających, warto słuchać wierszy, warto wsłuchiwać się w ich słowa: wolne, odważne, brzmiące mocno i czysto, konieczne – jak oddech.

Paweł Próchniak

Kazimierz Wierzyński

Listopad 1918

To jest ostatnia jesień, niebezpieczna pora,
I ostatnie zarosłe niewolą przysłówie,
Zwołajcie nocne zjawy i wpuście upiora,
Niech pyta – i niech naród mu teraz odpowie.

Niech spojrzą sobie w oczy, dwa widma i wrogi,
I rozstrzygną, kto kogo na nowo powali:
Ta przeszłość kościotrupia, talizman złowrogi,
Czy tłum, co ciągnie z krzykiem i nie wie, co dalej.

Wybierać trzeba szybko, raz jeden – na wieki,
Jeśli wolność – to twardą, bez łez i załotów.
To nie, że miasto śpiewa i płacząc powieki,
Kto na wierzch ją wywłóczy – na wszystko jest gotów.

Sępm wzrokiem po kraju jałowym przeleci,
Po ruinach, po łąkach rozległej dokoła:
Musi zgarnąć i złożyć tę wolność ze śmieci
I przepchnąć ją przed światem, i stawić mu czoła.

Bo na cóż liczyć, patrzcie! Ta garstka pielgrzymia,
Co przed dworcem na deszczu wystaje i czeka,
To jest wszystko – to pustkę bez dna wyolbrzymia,
Otwiera loch nicestwa i straszy z daleka.

A jednak tylko oni, ta młodość po prostu,
Co upartym czekaniem od lat się nie nuży,
Z tego placu wypadnie i skoczy, jak z mostu,
W ślepy mrok i na ślepo się w przyszłość zanurzy.

Natchnionymi płucami jej ciemność przedmucha.
I udeptaną ziemię raz jeszcze rozdrapie,
I z mroźnego szaleństwa przywoła tu ducha,
By ogień w czterech rogach podkładał na mapie.

Najwyższy czas! Już wieje niebezpieczną porą,
Już dymi mokry dworzec i dudni pociągami.
Czy teraz jesień wygnać – niech sami wybiorą –
Czy martwe truchło wynieść do góry posągiem?!

Wstrzymajcie szumny pochód. Niech stanie na mieście
I usta rozkrzyżowane w milczenie pozbiera.
Jedno jest tylko hasło, milcząc je nieście:
Wierzy się lub nie wierzy, żyje lub umiera.

Przedruk za: Kazimierz Wierzyński, *Wiersze wybrane*, wybór i wstęp Michał Sprusiński, Warszawa 1979, s. 93-94.

Wydawca Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

Pomysłodawca, koordynator projektu Tomasz Pietrasiewicz

Redaktor prowadzący Małgorzata Domagała

Redakcja

Marcin Fedorowicz, Grzegorz Jędrak, Łukasz Kijek, Agnieszka Łakocy-Sulej, Piotr Nazaruk, Maciej Pałka, Maciej Tuora, Wioletta Wejman, Joanna Zętar

Stała współpraca Tomasz Dostatni OP, Paweł Próchniak, Marcin Bieleśz

Opieka wydawnicza Agnieszka Wiśniewska

Korekta Teresa Markowska

Layout, skład, fotomontaże Małgorzata Rybicka

Edycja tekstu Monika Tarajko

Fotoedycja Karol Grzywaczewski

Druk Petit S.K. Lublin

Dystrybucja Magdalena Krasuska

Nakład 3000 egzemplarzy

Gazeta dostępna również na stronie internetowej teatrnn.pl/para

Kontakt z redakcją
e-mail: pa.ra@tnn.lublin.pl
ul. Grodzka 21,
20-112 Lublin
tel.: 81 532 58 67

